

Rozważania niepomnikowe

Tych, którzy nie znają Olsztyna, informuję, że jest to miasto ładne, czyste, pełne zieleni. Załedwie pięć minut tramwajem — i z odbudowanej Starówki przenoszę się nad jezioro, które nosi niewymyślną lecz rzeczową nazwę „Długiego” (bardziej lakoniczną nazwę ma chyba tylko jezioro Mokre koło Zgou). Wokół jeziora wiedzie urocza ścieżka. Spacer trwa pół godziny, w lesie, rosnącym z drugiej strony jeziora, drzewami ostatnie resztki lata, można jeszcze się na piaszczystym brzegu i pogapić się bez troski na wodę. Ale dalej beztroska mija: oko mimo woli zatrzymuje się na drzewkach niedawno widać zasadzonych i już pooblatywanych z wielką a tępa starannością.

Ta tępa beżmyślność niemało szkód przyniosła na warmińskiej i mazurskiej ziemi. Ona to między innymi kierowała ręką, która na grobie Michała Kajki wypisała dużymi literami: „Szwab”. Są to rzeczy zbyt znane, by je opisywać szeroko.

W czasie rozmów z literatami, dziennikarzami i działaczami, przybyłymi tutaj na uroczystości inaugurujące Rok Kajakowski, usłyszałem słowo „wielkie nieporozumienie”. Na szczęście było to odosobnione zdanie. Piszę „na szczęście”, gdyż nie ma nic gorszego nad mity. Tam, gdzie u podstaw oceny tego co było, zjawia się męt, trudno mówić o skutecznej naprawie. A trzy dni, jakie spędziłem w rodzinnych stronach Michała Kajki, przekonały mnie, że krzywdy (nie „nieporozumienia”) ubiegłych lat zostały zważone i zrozumiane. Wytyczono też szeroką drogę naprawy. Jednym z fragmentów tej naprawy o doniosłej zresztą roli, były właśnie te uroczystości, których centralnym punktem było odsłonięcie pomnika Kajki, ludowego poety i działacza — w Elku.

Oczywiście — nie obyło się bez nieudolności. Przykrą gaffą było niezaproszenie jedyne, żyjącego syna Kajki, Adolfa, do prezydium w czasie akademii w Olsztynie. Gaffę tę częściowo naprawiono w Elku, gdy wicemin. Zaorski i wiceprzew. Rady Państwa Podedworny bardzo serdecznie witali Adolfa Kajkę. Nieudolność przynosi również złe skutki, ale zgódźmy się, że o wiele gorsze spowodowała zła wola. Tę czy inną nieudolność można znieść, kiedy rzecz zasadnicza: ogólne nastawienie wobec tubylców ulega gruntownym zmianom. I to już nie teoretycznie, ale w praktyce.

Zrozumieniem wagi problemu i gorącej chęci naprawy rozbrykały dyskusje w olsztyńskim Wojewódzkim Domu Kultury. Jeśli mówiono, że działacze jest na tym polu ciągle za mało, to jednocześnie widać było, że ci, którzy są — to działacze z prawdziwego zdarzenia. To znaczy — znający przede wszystkim teren i jego potrzeby, oraz potrafiący znaleźć drogę u rzeczywistnienia swych zamierzeń. A droga ta nielatawa, zarosnięta tu i ówdzie uprzedzeniami, ambicjami, nieufnością, a przede wszystkim najeżona obiektywnymi przeszkodami w postaci braku i odpowiednio licznych ludzi do tej pracy, i — last not least — funduszy, których trzeba szukać przy pomocy najrozmaitszych kruczków i żmudnego odkrywania pokładów tzw. miejscowych rezerw.

Ale i pod tym względem dzieją się tu rzeczy, o których trudno nie pisać z optymizmem. Oto próbka: pomnik Kajki był fundowany przez społeczeństwo poprzez sprzedaż „cegiełek”. I cóż się okazało? Wbrew przewidywaniom czarowników, zebrano więcej, niż wyniósł koszt pomnika. Jest to objaw o wiele cenniejszy, niż najwyższa dotacja państwowa

— świadczy bowiem o zrozumieniu sprawy przez szerokie rzesze społeczeństwa. A więc także — przynajmniej w jakiejś części — przez tych, którzy tutaj przed kilku laty, świadomie czy mniej świadomie, wyrządzili niejedną szkodę.

Zresztą nie tylko o pomnik chodzi, choć i to ma olbrzymie znaczenie — jako uczczenie pamięci tego twardego człowieka i jako symbol zmian. Waga uroczystości jest znacznie donioślejsza, właśnie z uwagi na rozkręcającą się coraz bardziej działalność naukowo-kulturalną i oświatową. Człowiek, który na grobie Kajki w Ogródku wypisał poniżający wyraz „Szwab” nie wiedział co czyni, jak najbardziej dosłownie. Nie to było tragiczne, że autor tego napisu był tępym złośliwcem, lecz fakt, że on tak myślał naprawdę. Nieznajomość historii tych ziem wśród ludzi, którzy tutaj przybyli — była zjawiskiem powszechnym. Dla tego tak bardzo cieszą tytuły książek, coraz liczniej wyda-

wanych, tytuły prac, opracowywanych przez tutejszych naukowców i tematyka podejmowana przez Towarzystwo Warmii i Mazur i Towarzystwo „Pojezierze”.

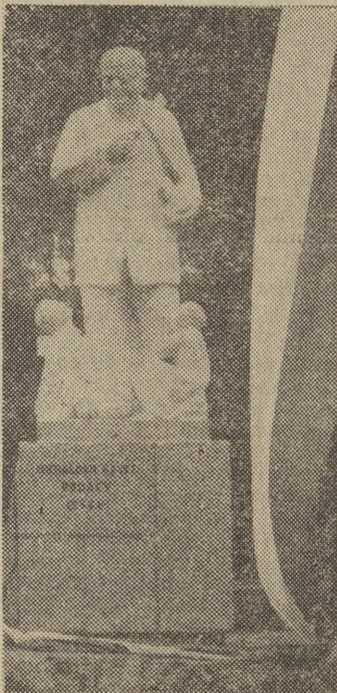
Pod tym względem czas nie działał na naszą korzyść, choć był sprzymierzeńcem w innym sensie.

Problem Warmii i Mazur jest nader złożony i wielopłaniowy. To nieprawda, że tylko nieświadomość i zła wola były przyczyną rozzębienia między ludnością tubylczą i napływową.

Przypomina mi się stary repatriant, którego kilka lat temu spotkałem w okolicach Bełdanu. Został sam jeden z całej wioski. Przyjechali tu w roku czterdziestym piątym, przyjechali i osiedlili się. Ale cóż — z pokolenia na pokolenie chodzili za plugiem, a tu jeziora i jeziora, poza tym łąki i lasy. Próbowali łowić ryby — skąd mieli wiedzieć, jak to robić? Skutek był ten, że dwóch z nich się utopiło. Wówczas cała wioska wyemigrowała gdzieś w Szczecińskie, gdzie jeziora mniej, ale pod dostatkiem bezpiecznie, znajomej ziemi.

A i z tą ziemią bywało rozmaicie. Na Podolu rzucił ziarno, to i pięknie wzeszło. Tutaj usłyszał o jakichś nawozach, maszynach... Tubylcy dziwili się, repatrianci czuli się głupio. To również nie wpływało dodatnio na rozwój współżycia. Dodajmy typową dla pierwszych lat atmosferę tymczasowości — a zrozumiemy, ile spraw dzieliło ludzi: odmienną cywilizację, poziom techniki, nie mówiąc już o różnicach obyczajowych, religijnych nawet (większość Mazurów, to protestanci).

I tutaj właśnie czas, wspomagany zresztą przez działalność państwa, zrobił dobrą robotę. Przybyły ze starej Polski odnajdywali swoje miejsce, wstali w krajobraz i nowe gospodarstwa. Dostosowywali się do odmiennych warunków, nauczyli się pielęgnować ziemię, przyswoili sobie te wszystkie nowości, o których nie słyszał ich ojciec i dziad z zaskoczeniem na str. 3)



PIONIER PRZYJAŹNI POLSKO-NIEMIECKIEJ

Podczas szczęku oręża i powstania pierwszego cesarstwa we Francji urodził się Jan Christian Henryk Metzgi 20 maja 1804 roku w Skwierzynie nad Wartą (w powiecie międzychodzkiem). Ojciec był burmistrzem, sędzią w Międzyrzeczu, a potem komisarzem sprawiedliwości. Po śmierci męża wdowa przeniosła się do Berlina, gdzie kształcił się Jan Metzgi, najpierw w gimnazjum a następnie w Akademii Medycznej. W roku 1831 przeniesiono go jako lekarza wojskowego do Strzałkowa, nad granicę byłego Królestwa Kongresowego, gdzie poznał urodziwą Polkę Emilie Barbare Szefer, z którą się ożenił: od tej chwili stał się wiernym przyjacielem Polaków i sprawy polskiej.

Pod koniec 1831 roku dr Jan Metzgi został przeniesiony do Leszna, gdzie przebywał już do końca swojego życia, pracując jako lekarz. Jako przyjaciel Polaków dał się poznać w czasie Wiosny Ludów, gdy wystąpił publicznie, nawołując do zgody Polaków i Niemców w piśmie swoim pt.: „Pokój z Wami! Młotuje się nawzajem! Głos pojednawczy do ludności W. Księstwa Poznańskiego”. Odąd sprawa polska stała się jego sprawą. Pisał liczne broszury, me moriały, listy otwarte do europejskich mężów stanu, króla pruskiego, królowej i Napoleona III — w sprawie polskiej, m. in. polskiego uniwersytetu w Poznaniu. W okresie powstania poznańskiego do-

magił się reorganizacji W. Księstwa Poznańskiego, tj. autonomii i równych praw dla Polaków i Niemców oraz zwolnienia sejmiku prowincjonalnego dla uchwalenia konstytucji. Za swoją działalność polską naraził się rządowi pruskiemu i musiał się rzec stanowiska lekarza batalionowego i emerytury.

Powstałe w Berlinie Koło Polskie popierało gorącą akcją dr. Metzgi w sprawie polskiej. Wyśniewo nawet jego kandydaturę na postać do parlamentu pruskiego. Kandydatura jego upadła kilkakrotnie. Został wybrany tylko radnym miasta Leszna.

Podczas wojny krymskiej rozwinął szerszą działalność polityczną i wydał kilka pism, jak np.: „Suum Cuigne” w roku 1856, a w późniejszych latach: „Zjazd w Warszawie i kongres europejski”, „Odbudowa Polski”, „Sprawa polska” i inne. W pismach tych domagał się przywrócenia niepodległości Polski w granicach sprzed pierwszego rozbioru 1772 roku i zwalczał szowinistyczno-nacjonalistyczną politykę Prus i pozostałych zaborców. Mimo rozczarowań nie zrażał się trudnościami i dalej walczył z osławionym „Drang nach Osten”, licząc na



liberalniejszą politykę Wilhelma I.

Wybuch powstania styczniowego uczynił na nim ogromne wrażenie. Wydał wtedy publikację pt.: „Sprawa polska i jej załatwienie w prawdziwym interesie Europy i w duchu cywilizacji”. Za pośrednictwem lorda Palmerstona zabiegał u Napoleona III w sprawie zwolnienia kongresu europejskiego dla przywrócenia Polsce niepodległości. W tym też czasie wybrano go posłem do parlamentu pruskiego (1863-65). Wyboru zawdzięczał Polakom; miał też wśród nich wielu przyjaciół, jak: Karola Libelta, Gustawa Potworowskiego, Augusta Cieszkowskiego, Adama Karwowskiego, Józefa I-

gnacego Kraszewskiego i innych. Wskutek negatywnej postawy konserwatywnych juników pruskich i burżuazji pruskiej, do sprawy polskiej i polskiego uniwersytetu dr Metzgi złożył swój mandat i wrócił do praktyki lekarskiej. Nie zaprzestał jednak działalności w sprawie polskiej.

W roku 1865 ogłosił list otwarty do Wilhelma I z okazji 50 rocznicy Kongresu Wiedeńskiego i wzywał go do dotrzymania przyrzeczenia danego Polakom, gwarantującego im wówczas swobodny rozwój narodowy. Na rok przed



Fot. W. Sławny

W TATRACH — PIĘKNA SŁONECZNA JESIEŃ...

GWIAZDY JEZIORA

Janusz Sauer

W noc sierpniową
spadają gwiazdy
ku zielonym wodom

Nawet kiedy zginą
w chłodnych odmętach
klamra ich życia
nie jest zapięta

Bo na dnie
błękitny żyje koral
który je zmienia
w gwiazdy jeziora

Odtąd jak ryby
już nigdy nie mogą
za życia rozstać się
z wodą

Tym sposobem
ryby ze smutku
dźwięczną
straciły mowę

A kiedy ludzie
oprawcy bezimienni
przechylą kosz
srebrzystych ryb
świeżo z wody wyjętych

Wtedy nikt nie powie
że to w gwieździstej nocy
daleki śpiew

Tylko wezmą ostre noże
i wypatroszą brzuchy
zimną odpuszczając krew

Na uniwersyteckim podwórku

CWIARTKI, połówki i całe kartki papieru — jedno wpięte starannie w deskę czterema pinetkami, inne ledwo dżgnięte wygiętą szpilką; jedne pachnące jeszcze farbą drukarską, inne zszarzałe już od słońca i deszczu; na jednych foremne odbicie czcionek, na innych ślad zde-nierwowanej ręki — wiszą sobie te wszystkie papierki w gablotach za bramą warszawskiego uniwersytetu i żywią studentów wskazaniemi, nadzieją, informacyjnym chlebem. Aby przejść do któregośkolwiek gmachu uczelni — trzeba koniecznie przystanąć na chwilę i tyknąć urozmaiconego pokarmu.

Tu — dodatkowa lista kandydatów na Wydział Prawa — premia dla cierpliwych. Obok — spółdzielcza szkoła handlowa podaje rękę niedoszłym studentom. Są też ulgowe bilety na „Wariatkę z Caillot” — Jean Giraudoux. Jazzowy plakacik wzywa na jazzowy deser do klubu „Stodoła”. AZS zaprasza na treningi piłkarskie. Jeden klub akademicki nęci bukietem złotych myśli oraz podań o moralności chrześcijańskiej w interpretacji ministra Spaaka, o sprawie stygmatyczki Teresy Neumann o „rewolucjonizmie” papieża. Te kartki wiszą już wiele miesięcy, podobnie jak gazetowe wycinki innego Koła, informujące o szczęściu i miłości, o doznaniach „niewierzącej opozycjonistki”, o religii i światopoglądzie w pamiętnikach polskiej inteligencji. Nowszych pozycji brak.

Nieopodal wisi komunikat PZU w sprawie ubezpieczeń studentów od nieszczęśliwych wypadków. Gdyby tak szanowna instytucja mogła ubezpieczyć również studentów, którzy obłali egzamin; małżeństwa, które żyją zdala od siebie w domach akademickich; profesorów, którym nie udało się wykład — bo przecież czy są to szczęśliwe wypadki?

Obok — informacja dla repatriantów. Tydzień archiwów. Nowy film w kinie „Iluzjon”. I wzruszająca swą bezradnością notatka: „Grażynko! — pszepraszam Cię bardzo, że nie mogę być z powodów ode mnie niezależnych. Staszek” I jeszcze coś — Studencki Punkt Usługowy — oferuje następujące prace: oczyszczanie wagonów towarowych; opieka nad dziećmi; malowanie pokoi; 100 osób do kwesty w Lidze Ochrony

Mgr St. H. GOŁĘBIEWSKI

(Ciąg dalszy na str. 2)

CZY KULTURA ZAKWITNIE NA MINACH?

Z Krościenka — sowy do Aten

Czekając przed okienkiem dyżurki MO, słyszę taką oto relację telefoniczną: A więc znowu znalezione granat, mówi porucznik, należy zabezpieczyć miejsce, koniecznie i zaraz! — dodaje rozkazująco.

Rzecz dzieje się 11 września 1958 r.

Pila ciągle jeszcze jest pod wrażeniem nieszczęścia, jakie przydarzyło się tutaj dokładnie w 19 rocznicę wybuchu ostatniej wojny. W rękach dzieci wybuchła mina przeciwtransportowa, zabijając jedenaścioro w wieku od 6 do 15 lat; dwoje zostało ciężko okaleczonych.

— Nie jest to pierwszy wypadek w tym roku — mówi komendant MO. — W kwietniu na cmentarzu ewangelickim eksplodował pocisk. Śmierć poniosło troje dzieci w wieku szkolnym. Po ostatniej tragedii na Głdą ekipa minerska wyciągnęła z dna rzeki jeszcze 30 (!) min poza tym w ciągu dwóch tygodni września wzywano minerów w 40 wypadkach. To, o czym pan przed chwilą słyszał w dyżurce — ciągnie komendant — to

jest jeden z dowodów, że dopiero teraz obywatele zaczynają zwracać uwagę na niewypały. Do 1 września pociski drzemały sobie spokojnie w obrębie gospodarstw, na podwórzach domów i gdzie indziej. Wiedzano o nich. Po myślcie, leżały tak kilkanaście lat...

Tak jest, a poza tym szwankował nieco kontakt MO z ludnością, dodajmy.

— Przeprowadziliśmy niezwłocznie szeroką akcję uświadamiającą — powiedział mi inspektor szkolny — a więc pogadanki zarówno dla dzieci, jak i dla rodziców.

Idąc nad Głdą, której czarna niemal toń kontrastuje z zielenią, obrastającą oba brzegi rzeki, myślę sobie o hodowli szczupaków faszerywnych prochem.

— Siedliskiem niewypałów są grzyzy — stwierdził komendant MO. — Wniosek jest jasny: trzeba jak najszybciej i jak najdokładniej miasto odgruzować. Również inne miejscowości warto by przepatrzyć...

Właśnie kilka dni temu — dowiedziałem się w Prezydium MRN — znaleziono jakiś pocisk pod płytami chodnika.

— Tyle u nas rumowisk — ciągnął komendant — że nawet przy największym wysiłku potrzeba dwóch lat, żeby to wszystko, jako tako, uprząść. Nim to się stanie, uważam, że ekipa minerska musi być w ciągłym pogotowiu. Nie wolno jej likwidować!

Ostatnio byłem w Pile przed czterema laty. Są pewne zmiany i owszem. Buduje się coś nowego, tu i ówdzie widzimy oświetlenie jarzeniowe, porządniej i czystiej.

Według urzędowych relacji — chuligaństwo w Pile zmniejszyło się dwukrotnie w porównaniu z rokiem ubiegłym. Może i z tego powodu, że istnieje tu szkoła milicyjna. Już sam widok rojących, siwo umundurowanych chłopców, oddziaływało hamująco...

Umarł Stefan Mroczek, czeladnik i zasłużony działacz społeczny, ostatnio pracownik Muzeum im. Staszica.

W sercu miasta, niedaleko nowego mostu na Głdzie, znajduje się piński Kercelak. Kilkanaście bud z galerią damską, na ziemi handluje się starzyzną. Kupujących niewielu. Czy tak wyglądają tutejsze zmiany „modelowe”...

A inne, np. w kulturze? Najwięcej chyba snu z powiek miejscowych działaczy społeczno-kulturalnych spędza problem odbudowy pięknego teatru z przyległościami, które wraz z salą widowiskową (ok. 680 miejsc) zamieniają się po remoncie na pomieszczenia Miejskiego Domu Kultury. Kierownikiem jego jest p. Lemańska.

Od niej i kierownika Oddziału Kultury Z. Wojciechowskiego dowiaduję się szczegółów związanych z odbudową, o której już opowiadają legendy, a dowcipnie układają frazki. Roboty prowadzi ZBM z Piły, które dążą do maksymalnego przeobrażenia i mało się jeszcze innych zadań, nie dysponując zresztą odpowiednią ilością rąk do pracy. Przypomina się przysłowie ludowe „sześć srok za jeden ogon”. A więc odbudowa ciągnie się jak gumo do żucia, chociaż na niedobór funduszy narzekać nie można.

Mimo braku jakiegos stałego lokalu, życie kulturalne rozwija się: sekcje pracują w świetlicach zakładowych. Rzecz godna pochwały.

Na uniwersyteckim podwórku

(Dokończenie ze str. 1)

Przyrody (zarobek — 10 proc. od zebranej sumy).

Kartka za kartką, tekst za tekstem, nadzieja za informacją, informacja za reklamą i komunikatem — wielodaniowy codzienny akademicki posiłek. Na zdrowie!

O studenckich żołądkach — już serio — debatują w Ministerstwie Finansów. Przyszła delegacja ZSP i w imieniu studentów Warszawy, Poznania, Krakowa, Wrocławia i innych miast prosi, by dołożono ze dwa złote na każde dzienne menu akademickich stołówek. Ale to pachnie milionami — urzędnicy wskazują więc młodym na istniejące rezerwy: nie wykorzystanie boni obładowe, rezygnacje i zwroty. Niestety — z rezerwami jest tak: dziś są a już jutro gromady chłopców i dziewcząt wędrują spod okienka kierowniczych stołówek na barszczyk do baru mlecznego...

W ośnośnych instancjach stawiają tymczasem ostatnie kropki nad tekstem reformy systemu stypendialnego. Wielu takich, którym rodzice mogą pomóc bez trudu — będzie musiało pożegnać się z państwową darmochą. Żółci trochę będzie, zdarzą się może i tacy, którym się wymknie i brzydkie słówko na czas, na porządku ale biorąc ze społecznego punktu widzenia...

Natomiast sprawa podwyższenia opłat za pobyt w domach akademickich rzeczywiście jest dyskusyjna.

W roku bieżącym tylko 15 procent słuchaczy uczelni technicznych, którzy powinni byli otrzymać już dyplomy — ma je w kieszeni. Reszta żyje z terminami, kalendarzem, obowiązkami egzaminacyjnym — jak pies z kotem. Jak oświadczył mi niedawno dyrektor departamentu planowania w Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego — ta plaga nieterminowości, odwiekająca, plaga egzaminacyjnych uników, przerywania studiów i ponownego zdawania, to całe swoiste kunkatorstwo wielu obciążających skądinąd młodych ludzi — legło ciężkim brzemieniem na walczące o wyższy poziom uczelnie w całym kraju. Pisał o tym w „Głosie” także Prorok Kwiatak.

Jednym z leków na tę chorobę może być stać właśnie owa reforma stypendiów, rozgraniczająca m. in. studentów z prawdziwego zdarzenia i tych, którzy studia traktują jako ciekawy epizod na swej drodze życia.

Szkolnictwo w ogóle ma ostatnio szczęście do różnorodnych reform. Wiele z nich

wprowadzi nowa ustawa o szkolnictwie wyższym, której projekt ma być przedstawiony posłom na najbliższej, jesiennej sesji Sejmu. Projekt ustawy wysuwa jako jedną z najważniejszych spraw — zagwarantowanie pracownikom naukowym swobody zarówno w wyborze tematyki pracy badawczej, jak i metod jej wykonywania. Inna, niezwykle pozytywna i ważna dla całości życia szkół wyższych zasada, przyjęta przez projekt ustawy jest skupienie całości tegoż szkolnictwa w rękach jednego resortu — Min. Szkolnictwa Wyższego. Dalsze podniesienie samorządności i samodzielności uczelni, wyrażające się m. in. w przekazaniu spraw dotyczących nadawania stopni i tytułów naukowych do kompetencji rad wydziałowych — to inna cecha przygotowywanej ustawy.

A tymczasem rozpoczął się nowy rok akademicki. Życzymy wszystkim, aby był to rok „łusty” w dobre wyniki.

Karol RZEMIEŃSKI
Warszawa



Gdzieś w grudniu, przy porządkach świątecznych, znalazła pocztówkę z Sopotu. Pocztówka była bardzo stara. Małe kreski ludzi widniejące na drewnianym moło ubrane były śmiesznie i niedzi siejszo. To jej nie przeskadzało. Ona sama nie ubierała się modnie. Pewnie, takiej sukni i kapelusza, jak ma ta pani, co tu z piekiem wybrała się na spacer, dzisiaj się na pewno nie spotka, ale przecież nie o suknie chodzi.

Od tego czasu każda jej wolna chwile zaprzętała myśl o wakacjach. Od grudnia do sierpnia można ze skromnej pensji odłożyć trochę grosza. Może nawet uda się dostać skierowanie do Sopotu?... Co prawda, kierownik kręcił nosem na wieść o urlopie w sierpniu. A już kiedy powiedziała, że chce jechać nad morze, nie mógł się nadziwić. Tak długo jednak chodziła ze swoją prośbą, aż wreszcie powiedział: „Dobra jest, Kowalska! Pojedźcie w sierpniu nad morze!”

Odtąd zaczęła żyć tylko tym wyjazdem. Żeby kupić sobie jakiś kostium czy suknię — mowy nie było. Przerobiła więc sobie stary kabatek i przereciowała spódnice; obie te rzeczy po wypraniu straciły trochę kolor, ale wyglądały jeszcze zupełnie dobrze. Z szafy wyjęła któregoś dnia czarny, słomkowy kapelusz z woalką. Ostatni raz miała go na głowie dość dawno... Tak! Była w nim na otwarciu Powołanej Wystawy Krajowej. Kiedy to było? Chyba w 1929 roku!... Odległe czasy... Zamyśliła się, ale odgłos kipiacej wody na kuchence nie pozwolił na wspomnienia.

ty, tylko że to wszystko zgodnie z ogólnym planem, ma jeszcze trwać do 1960 roku. Tymczasem w pokoju, przynależącym do Oddziału Kultury, zaistniało pro wizerunek „skład instrumentów, nut, akt itp. ruchomości, będących własnością MDK.

Kierownik oddziału jest ciągle zajęty. Raz uczestniczy w posiedzeniu komisji, często zagląda na budowę, to znowu przyjmuje interesantów.

Jednym z nich jest Bogdan K., repatriant z ZSRR, spod Lwowa. Na Uniwersytecie im. Iwana Franki ukończył filologię. Jak mi wyjaśnia, zamierza opracować powojenną kronikę Piły.

Pani Lemańska ugascza mnie śliwkami z własnego ogrodu. Dłuższy czas przed przybyciem do Piły pracowała w województwie olsztyńskim. Posiada sporo doświadczenia, sukcesów i... rozczarowań. Ale to jest przecież życie, nie sielanka.

Klubu inteligencji, niestety, u nas nie ma — mówi p. Lemańska — a klub dyskusyjny, w pewnym sensie jednak elitarny, przeistoczył się w „czterech do brydza”. Chcemy założyć w przyszłym MDK, Klub Międzynarodowej Prasy i Książki, poza tym zapraszamy literatów i dziennikarzy. Ich spotkania z ludnością cieszą się dużym uznaniem wśród społeczeństwa. Był u nas Leszek Prorok, Jerzy Rychniński i red. Jerzy Mikke, którego rozpaleni dyskusją studenci-milicjanci nie chcieli dosłownie wypuścić z sali.

Zauważyłam — ciągnie moja rozmówczyni — pewne zmiany w zachowaniu się i ubiorze młodzieży, którą czasami gościśmy na podwieczorkach tanecznych. O ile dawniej chłopcy przychodzili ubrani byle jak, w kracyciach koszulach i niewyprasowanych spodniach, o tyle teraz zjawiają się przeważnie w ciemnych ubraniach i białych koszulach. Nastąpiła też poprawa w zachowaniu się na sali tańca.

Na pożegnanie pytam: — Co będzie wcześniej ukończono: krakowska Jama Michalikowa czy wasz MDK? Powiedzieć!

— Brak lokalu nie przeszkadza nam w pracy — mówi kier. Wojciechowski.

P. Lemańska uśmiecha się. Nie umiem rozszyfrować tego uśmiechu. Sceptycyzm czy nadzieja na lepsze?

Czesław MICHNIAK

MOŁO

Odłożyła kapelusz, by po kolacji troskliwie się nim zająć.

Ani się nie spostrzegła, jak na przygotowaniach do wyjazdu minął maj i czerwiec. W połowie lipca miała już wszystko gotowe. Nawet kuferek, wyczyszczony brązową pastą do butów, świecił się i wyglądał jak nowy.

Na peronie panował tłok. Rodziny, chłopcy, dziewczęta, grupa harcerzy w zielonych mundurkach i kolorowych chustach — wszystko to z tobołkami, walizkami, plecakami, torbami, siatkami obładowany prowiantem — i kto tam wie z czym jeszcze.

Ochrypiły głosnik usiłował objaśnić z jakiego peronu i o której godzinie odjedzie pociąg do Gdyni. Na peronie gwar panował nieopisany i głosnik wysiłał się na próżno.

W tym kolorowym, niespokojnie falującym i rozgadany tłumie czuła się bardzo nieswojo i dziwnie. Tyle ludzi!... O tym, żeby dostać miejsce przy oknie — a tak bardzo chciała jechać właśnie przy oknie, marzyć szkoda.

Nawet nie spostrzegła, kiedy zajęła pociąg. Weisnieta między liczną rodziną, składającą się z grubego taty, takiej mamy oraz kilorga pociech różnej wielkości i tuszy, znalazła się nagle w korytarzu wagonu. Z niepokojem ścisnęła kuferek. Ktoś ją potracił, ktoś inny fuknął na nią ostro, wreszcie ciżba ludzka, napierająca już teraz z obu stron korytarza, weisnęła ją do przedziału. Z rozmachem postawiła komuś kuferek na kolana, woalka kapelusza zahaczyła o jakiś kije wędkar skie wystające z górnej siatki bagażowej. W tej samej chwili pociąg szarpnął i ruszył. Po jakimś czasie wszyscy jakoś się rozmieścili i dla niej znalazło

Wydarzył się dziw nad dziwy: Krościenko, osada licząca coś ponad dwa tysiące mieszkańców, zasiliło kulturą i oświatą miasto Poznań, już przed wiekiem polskimi Atenami zwane, chociaż wówczas nie posiadało jeszcze ani uniwersytetu, ani politechniki, ani żadnej zgola opery, ani spalnii śmieci.

A jak się stało, opowiem.

Oto już przed wakacjami szkoły poznańskie zaleciły młodzieży szkolnej, by się starała o nabycie książek szkolnych, gdziekolwiek ją bogowie zaprowadzą lub pociągi zawiozą. Zastanowiła mnie ta alokucja do dziatwy i potrzeba zaniepokoiła, gdyż wybierałam się z żoną i syneczkiem, ośmioklasistą właśnie do Krościenka. Przecież należało się o książki postarać przed wyjazdem w Poznaniu, bo jednak co Poznań, to nie Krościenko. Pobiegłam więc chyżo do księgarni. Dowiedziałem się, że na razie ani jednej z żądanych książek nie ma „na składzie”, ale w ciągu tygodnia chyba będą. Prosiłem sprzedawczynię bardzo uprzejmie, by skoro książki nadejdą zechciała dla mnie komplet za-rezerwować. Oświadczyła mi, że tego uczynić nie może, ani dla mnie, ani dla nikogo innego. Mam w Poznaniu dobrego co się zowie przyjaciela (trudno wierzyć, ale są jeszcze tacy!). Poprosiłem go, by się zajął kupnem książek, zostawiłem mu potrzebną garść cekinów polskich, a otrzymawszy solenne od niego przyrzeczenie — wybrałem się w podróż.

W Krościenku istnieje liceum ogólnokształcące oraz księgarnia, w której leży na stołkach mnóstwo książek szkolnych. Oczywiście anim pomysłał, by je kupować; toć chyba w domu już leżą, kupione przez przyjaciela. Aliści w dwa dni po wyjeździe żony otrzymuję list: „Pan Stanisław przez cały miesiąc co trzy dni chodził po książki, których w Poznaniu nie ma, a w Krościenku są! Proszę Cię, kup i przyslij!”

Ale kupić nie było łatwo. Szkoła krościenka bowiem zastrzegła sobie, by księgarnia nie sprzedawała leśnikom książek, bo ich zabraknie dla dziatwy miejscowej. A jednak, od czegoż tzw. „chody”. Poszła tedy bardzo miła i sympatyczna osoba i przyniosła siedem książek. I tak się stało, że tegoż dnia z Krościenka poleciało siedem sów do Poznania, polskich Aten! Nie wszystkie, bo jak się dowiedzia-

się miejsce. Weisnieta między chłopakiem w jaskrawo kolorowej koszuli a jegomościem, który zaraz, skoro tylko pociąg ruszył, zapadł w drzemkę — myślała o celu podróży.

Tak jak wysiadła z pociągu, z kufierkiem i potargana woalka, w staroświeckim kapeluszu i w wypłowiałym kabatku, poszła w kierunku moła.

Nigdy nie myślała, że tyle tu będzie ludzi. W swoim ciemnym stroju wyraźnie odróżniała się od innych. Kiedy wyszła na otwartą przestrzeń jakiegoś placu, poczuła, że robi się jej gorąco.

Usiadła na ławce przy skwerze. Obok siebie pieczołowicie umieściła kuferek, a na nim położyła zdjęty uprzednio kapelusz. Nie wiadomo, czy sprawiło to zmęczenie spowodowane podróżą, czy kołyszący szum, który rozlegał się z plecami, czy też skwar popołudniowego słońca; ani się nie spostrzegła jak zapadła w drzemkę. Kiedy się przebudziła, pierwszą rzeczą, jaka uderzyła jej oczy, był brak kufereka. Kapelusz z woalką leżał zdeptyany na ziemi. Zerwała się z ławki. Co robić?... Dokąd iść?... Z rzedka tylko mijają ją przytulone do siebie pary, nie zwracające uwagi na dziw na staromodną postać.

Poszła przed siebie. W kufierku było trochę jedzenia, bielizna, skierowanie i półroczne oszczędności. Nie widziała mijanych ludzi. Nie spostrzegła nawet, że kamienne płyty chodnika zamieniły się w drewniane deski. W głowie jej szumiało i szłaby dalej, gdyby nie poręcz, która zagrodziła jej dalszą drogę.

Potoczyła nieprzytomnym wzrokiem dookoła. Z daleka migwały odległe światła Gdańska, odpowiadała im z drugiej strony Gdynia, a za plecami jarzył się wszystkimi światłami duży gmach Grand Hotelu.

Była na sopockim moło.

A. WOJCIECHOWSKI

tem w Nowy Targu, sowa łacińska jeszcze się nie urodziła...

Wróciwszy do domu już po otwarciu roku szkolnego, dowiedziałem się, że jeszcze dużo książek braknie. Czytanka łacińska mają dopiero nadejść, gramatyka rosyjska jest podobno w druku, tak samo gramatyka polska, zaś atlas historyczny jest wyczerpany i należy czekać, aż się ukaze.

Kiedys, kiedy jeszcze byłem młody, piękny i wesoły — nic dziwnego, byłem jeszcze kawalerem — poszedłem do Haweki (jeszcze to było w Krzeszoforach, na narożniku Szczępańskiej i zamówiłem porcję flaków. Ach, wyborne tam były flaki! Ale cóż, po długiej chwili oczekiwania wrócił z kuchni pikolak w długim zielonym fartuchu i obwieścił: „proszę pana, flaki kucharzowi wyszli!”

Bywają asocjacje doprawdy przedziwne. I teraz oto siedzę przy biurku, przypominam sobie, że właściwie rok w rok historia się powtarza: z początkiem roku szkolnego brak książek i trzeba na nie czekać. Wpatruję się w rozwieszony wszędzie czerwono-zielony plakat i po raz nie wiem który czytuję: „Brakujące podręczniki uzupełnisz, kupując używane od kolegów ze starszych klas”. Czytam i zastanawiam się: primo — jakie to są książki, które „brakuja”?

W tej chwili przypominają mi się owe lata, szczęśliwe, kiedy to jako kwintanerzy w Maryjce mieliśmy dwa razy w tygodniu lekcje języka polskiego u ostatniego Mohikana, człowieka o gołęmb sercu, profesora Kolanowskiego, który z ogromną miłością w zakute bły wdrażał znajomość po-prawnego wyrażania się w języku polskim. Bywało, że na początku lekcji zgłaszał się jakiś „szczen” do profesora z oświadczeniem: „proszę pana profesora, ja na ostatniej lekcji brakowałem!” „A co ty brakowałeś, owce? Bo widzisz kochanećku, brakować można na przykład owce, albo jakiś towar, którego kupujący nie przyjmuje z powodu braków, ale nie można mówić, że brakowałeś na lekcji, tylko że byłeś na lekcji nieobecny”. I potem następowała długa tyrada o poprawności w postugiwaniu się językiem polskim, co się klasie tak podobalo, że ilekroć któryś ze złośliwców chciał zgłosić swą nieobecność na poprzedniej lekcji, stale powiadał: „Ja na ostatniej lekcji brakowałem” — wiedząc, że niechybnie usłyszy „de novo” wykład o poprawności języka wygłaszany z anielską cierpliwością przez kochanego profesora „Kojate”, bo tak go wszyscy nazywali.

A — secundo — z tym poży-
czaniem rzecz nie prosta. Syn mój poprosił starszego kolegę, by mu książkę pożyczyl. „Nie mogę, bo mi potrzebna będzie przy maturze”. I co mu zrobisz? Zwróciłbyś się do autora plakatu, czy może zmusić kolegów ze starszych klas do sprzedania albo pożyczenia książki — ale cóż — autora nie ma!

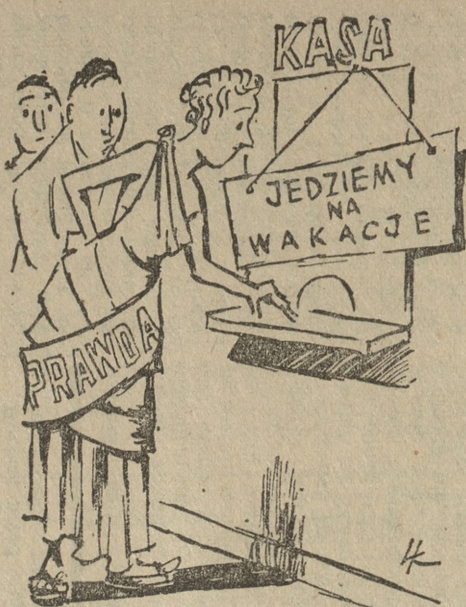
I przypominają mi się inne plakaty: „Graj w Koziołki, bo jeśli nie będziesz grał, nie wygrasz miliona”. Ot, znowu przedziwna asocjacja: na tyle plakatów papier mamy, na książki szkolne — nie.

A wreszcie kupowanie starszych książek tylko w takim razie ma rację bytu, jeżeli nowe wyjdą bez zmian. Tymczasem słyszę, że nowe wydania będą poprawione (czy poprawne — nie wiadomo, w każdym razie poprawione). I będą w jednej klasie dla tego samego przedmiotu książki różne, stare i nowe, dawne i poprawione — tak samo jak owe biblijne barany i owce, które chytrze hodował Jakub, w ten sposób, że Labanowi dostały się późne i posłednie, a wczesne i lepsze Jakubowi. I tedy, jak mówi Biblia, wzbogacił się ów człowiek niezmiernie i miał wiele trzód służebnic i slug, wielbłądów i osłów...

Jakże pięknie było w Krościenku, które siedem sów posłało do Poznania, polskich Aten...

Alonzy PIENIAŻEK

KAZDY Z NAS KLAMIE. NIE PRZECZ-
CIE. KLAMIEMY Z RÓŻNYCH MOTYWÓW
I PRZYCZYN: CHĘCI ZYSKANIA, LUB
OBawy UTRATY CZEGOŚ. POBUDKĄ
MOŻE BYĆ: BOJAŹN, AMBICJA, WSTYD
LUB WRESZCIE LITOŚĆ, DOBRE SERCE
CZY DELIKATNOŚĆ. DEFINICJI KLAM-
STWA ISTNIEJE BARDZO WIELE. OD TY-
SIĄCLECI ZAJMOWALI SIĘ TYM FILOZO-
FOWIE I MORALIŚCI, A OBECNIE TAKŻE
PSYCHOLOGOWIE I SOCJOLOGOWIE. JUŻ
SW. AUGUSTYN OSĄDZAŁ KLAMSTWO
SUROWO JAKO „WYPOWIEDZ ŚWIADO-
MIE ZMIERZAJĄCĄ DO WPROWADZENIA
W BŁĄD”. WSPÓŁCZESNY POETA I FILO-
ZOF WĘGIEŃSKI BŁAGA POWIE DELI-
KATNIEJ, ŻE „KLAMSTWO — TO WAKA-
CJE UDZIELONE PRAWDZIE”.



Rys. L. Kapczyński

WAKACJE które trwają cały rok...

Kłamstwo może być bardzo niewinne, jak np. fantazjowanie i fanfaronada. — Może być pomyłką, lub wreszcie przybrać nawet kryminalne formy: oszustwa, fałszerstwa czy zdrady. Kłamać można: mową, piśmem, „zachowaniem się, wyglądem, milczeniem, a nawet mowieniem zdań prawdziwych, którym drugi na pewno nie uwierzy”. — Stąd też popularne powiedzenie, że najlepszymi kłamcami są dyplomaci, a najlepszym dyplomatą ten, który mówi prawdę...



— A wtedy ta cud-kobieta zaprosiła mnie do siebie...

Jedni kłamią, jak z nut, i śpią spokojnie, inni — kłamią — przeżywają męki Tantala i dręczą ich sumienie. U jednych kłamstwo jest wypisane na twarzy, innych można smażyć i torturować, a kłamać nie przestają...

Na ogół uważa się, że kłamstwo zawsze jest czymś złym, szkodliwym. Kłamec uważa się za człowieka, który nadużył zaufania, odplaca mu się pięknym za nadobne i z kolei okłamuje go, że w dalszym ciągu ma się do niego zaufanie i wierzy temu, co mówi...

W sądzie, jak wiadomo, musimy składać uroczystą przysięgę, że będziemy mówili szczerą prawdę i nie nie ukrywamy. Zwolniony od tego jest tylko oskarżony, który we własnej obronie może nawet mówić nieprawdę. W życiu codziennym zaklinamy się „na słowo honoru” — zapewniając w ten sposób, że nie kłamiemy. Czyż to tak często, że zaklinanie

nie tylko nas — na przykrość i kłopoty. Pamiętacie zabawne perypetie bohaterów filmu: „Dzień bez kłamstwa”?

Więcej nawet — w życiu towarzyskim kłamstwo jest czasem obowiązkiem. Nie wolno przecież szczerości i prawdomówności posuwać do arogancji. Jeżeli nie podoba nam się czyjaś fryzura lub ktoś jest pięgowaty, albo sepleni — nie musimy o tym mu mówić. — Nie sprawi mu to radości ani też nikomu nie przyniesie żadnej korzyści. Nie ma ludzi bardziej męczących i nieprzyjemnych, jak weredycy, opętani pseudoszlachetną manią mówienia zawsze i wszędzie wszystkiego, czy się ich ktoś pyta czy nie.

Kłamstwo jest, oczywiście szkodliwe, gdy przynosi społeczne lub moralne szkody. Ale niekiedy nawet szkodliwość kłamstwa jest nieunikniona i pozostaje tylko problem, które z kłamstw, lub jaka jego treść albo forma, przynosią mniejsze zło. Zastanówcie się i poszukajcie w pamięci — zapewne każdy z Was stanął przed tym problemem...

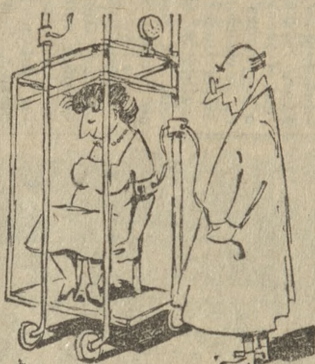
Z kłamstwem jest więc tak, jak z ogniem. Może być dobre i pożyteczne, a może również przynieść nieobliczalne straty i szkody. Wszystko zależy od naszego wyboru, rozumu i decyzyj. A także od przyjętej ogólnie etyki i normy postępowania.

Od dawna starano się znaleźć sposoby, pozwalające wdrzeć się do wnętrza drugiego człowieka, aby odkryć i poznać świat jego myśli, a szczególnie dowiedzieć się prawdy lub znaleźć potwierdzenie kłamstwa. Służyły do tego różne naczynia, przykazania i groźby. Nawet tortury.

Od czasu, kiedy współcześni psychologowie odkryli podświadomość, wynalezione psychoanalizy, teksty i inne formy wdzierania się za „siódma zasłonę” i odkrywania najintymniejszych zakamarków ludzkiej psychiki. Wprzagnięto do tego naukę. Psychiatri, psychoanalizy, lekarze i psy-

galvano - graph”), możliwe jest dzisiaj uzyskać tajemnice, których człowiek dobrowolnie i świadomie nigdy by nie zdradził (przez pomiary fal mózgowych, ciśnienia krwi, zmian w oddychu, wydzielaniu potu itp.). Curtis R. Schafers wprowadził wynalazek „biokontroli”, czyli kontroli psychicznego zachowania, procesów myślowych, uczuć i odczuć zmysłowych w wyższych formach życia przy pomocy bio-elektrycznych sygnałów.

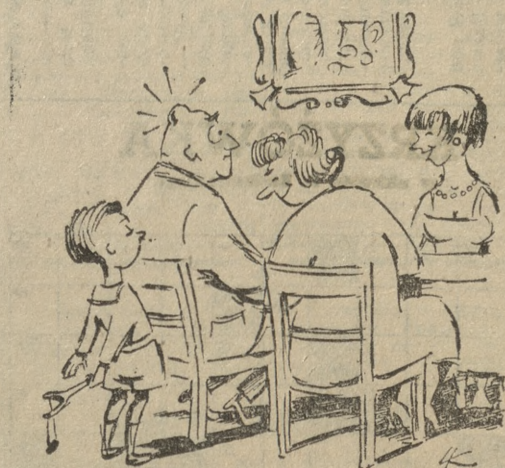
Ala prawdziwa rewolucja i przewrót w tej dziedzinie przyniosły badania, zapoczątkowane przez dr. House z Teksasu. Jego „narkoanaliza”, polegająca na wstrzykiwaniu kobietom przed porodem „Scopolaminy”, miała osłabić bóle. Okazało się jednak, że poza tym działaniem, lek ten powoduje, iż pacjentki mówiły o swoim życiu sprawy, o których nigdy by nie mówiły w normalnym stanie. „Scopolamina” aktywizuje bowiem centralny system nerwowy kory mózgowej i usuwa zahamowania.



— Wiek?
— Dwadzieścia dwa lata.

Dzisiaj psychiatrzy i psychoanalizy, celem poznania tajemnic pacjenta (szczególnie w kryminalistyce na Zachodzie), używają znacznie ulepszone preparaty jak „Bulbokapnina” i „Diabemina”. Zastosowanie więc najnowszych „broni psychicznych” pozwala dzisiaj na wydarcie człowiekowi każdej jego tajemnicy i odkrycie każdego kłamstwa. Tak przynajmniej twierdzą niektórzy naukowcy. Zastrzegam, jako że nie chciałbym być z tej okazji posądzony o kłamstwo...

Cz. K.



się nie ma już praktycznie żadnego znaczenia...

Bywają jednak kłamstwa nawet bohaterów. Członkowie Ruchu Oporu np. kłamił — by nie wydać swych towarzyszy. Nie sięgajmy zresztą do tak drastycznych przykładów — spójrzmy na nasze codzienne życie. Gdybyśmy spróbowali zawsze być prawdomównymi, to przy powszechnym skonwenansowaniu form towarzyskich, bezwzględna prawdomówność naraziłaby nas — i

chotechnicy z całym zastępem speców innych dziedzin nauki przypuścili ostateczny szturm. Udoskonalono zarówno „stare bronie klasyczne” jak np. praktyki hinduskich magów lub hipnozę, ale wynaleziono równocześnie ultranowoczesne środki.

Psycho-chirurgia potrafi dzisiaj zmienić charakter i psychikę człowieka. Przy pomocy „zapisywacza mózgu” (encefalografu) oraz tzw. „dedektora kłamstwa” („pneumo - cardio - sphygmo-

Drut tysiąc razy cieńszy od włosa udało się wyprodukować w Instytucie Metalurgii Nauk ZSRR. Grubość tego drutu (średnica) wynosi 1 mikron, a izolacji szklanej — 2 mikrony. Z jednej kropki metalu otrzymuje się zwój drutu długości ok. 2 km! Drut ten odznacza się wysoką wytrzymałością mechaniczną i od daje duże usługi w zastosowaniu w galvanometrach przy układach kontroli napięcia i stabilizatorach elektronowych, z uwagi na niski opór, zależny, jak wiadomo, od przekroju przewodu. Izolacja wytrzymuje napięcie prądu stałego o 5 tys. V.

Rybać ze środkowego Borneo opowiedzieli naukowcom, że spotkali niedawno człowieka wysokości ok. 7 metrów, który trzymał w ręku niezbyt małą. Rybać uciekli w

Rozważania niepomnikowe

(Dokończenie ze str. 1)

padziej wsi pod Tarnopolem czy znad Prypeci.

Ale jednocześnie ten sam czas szczybił nadszarpniętym żelaznym walcem wojny — mury wsi i miasteczek. Dziś, żeby uporać się z tym niszczycielskim działaniem czasu, trzeba podwojnej energii i środków. Nie dysponuję cyframi obrazującymi rozwój budownictwa mazurskiego. Ale choćby pobieżne obserwacje z okna autobusu wskazują na to, że na ziemi Michała Kajki idą zmiany również w tej dziedzinie. Nierównomierne, może czasem dziwaczne, ale widoczne. W Biskupcu odbudowano cały rynek, podobnie w Piszcu. Wiele nowych domów widziałem w Łuku i innych miasteczkach. Sądzę, że nie buduje się tutaj mniej, niż w wielkopolskich miasteczkach; przeciwnie — więcej. Może ciągle za mało. No cóż — na miarę możliwości.

Niektórym to jednak nie wystarcza.

Ci wyjeżdżają.

W pociągu Olsztyn — Szczecin spotkałem taką grupkę. Ludzie starzy, młodzi i zupełnie młodzi. Przy oknie w korytarzu blondynka, na oko 25 lat. Rozmawia ze starszą kobietą, stojącą na peronie.

— Jak tam mama?

Blondynka wzrusza ramionami i nie odpowiada. Nawigując rozmowę. Umyslnie mówię po niemiecku. Widocznie moja niemieczyzna nie wydała się jej podejrzana, gdyż dostrzegam w oczach błysk porozumienia.

— Sie sind wohl aus Schlesien, nicht wahr?

Błyskawicznie oceniam sytuację i potakuję głową. Niech będę „aus Schlesien”, rozmowa będzie przynajmniej szczerą.

I rzeczywiście, blondynka rozmawia zupełnie otwarcie. Zwał ją syreni śpiew ciotki spod Hamburga, która obiecuje jej mieszkankę. A praca?

Blondynka krzywi się.

— Ciotka pisze, że nie tak łatwo. Ale chyba jakoś znajdzie. Ostatecznie jak nie, to wróć tutaj. Byli przecież tacy, co wrócili.

No tak, byli tacy. Ale wyjazd tej dziewczyny nie trzeba żałować. Widać wyraźnie, że nie czuje się Polką, nigdy nią chyba nie była. Z tego co mówi, wynika, że nie było jej źle w ubiegłych latach. Nie było miodu — ot, żyła tak, jak miliony ludzi żyje w całej Polsce. Była fryzjerką, pracowała, miała dom, Meza — nie „Wollte ich nicht. Einen Polen?” Pytam, czy słyszała coś o Kajce. Nie, nie nie słyszała, choć czytała wiele. Niemieckie „Romanhefte”, które przysyłała jej ciotka spod Hamburga.

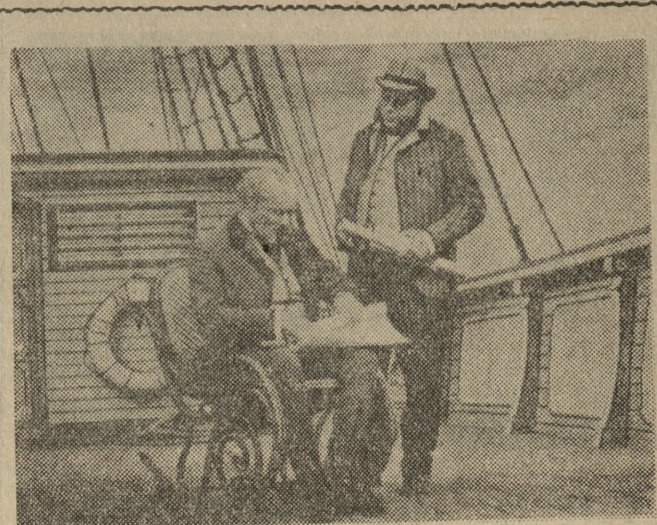
— A matka? — pytam.

Nie rozumiem jej — w głosie dziewczyny brzmi ledwie ukrywana irytacja. — Nie i nie. Mówi że tu się urodziła i tu chce umrzeć. Kto wie, może to i racja... Ale mówi też, że tyle lat czekała na polską mowę. Quatsch! — do daje z pogardą. — Zresztą czuję że wróci.

— No to dlaczego jedzie?

Odpowiedź brzmi nieprawdopodobnie:

— Takie są przepisy. Inaczej ja bym nie mogła...



Na kinomanów i wielbicieli Juliusza Verne'a czeka niedługo atrakcja, mianowicie film prod. CSR pt. „Diabelski wynalazek”. No cóż — powiecie — już nie jeden film nakręcono według powieści tego popularnego pisarza-fantasty. Tak, ale film o którym mowa, jest — z uwagi na zastosowanie zupełnie odmiennej techniki zdjęciowej — czymś naprawdę nowym.

Reżyser Karel Zeman wpadł na doskonały pomysł, aby przygody verne'owskich bohaterów pokazać tak, jak przywykliśmy się oglądać je na starych grawiurach, w stylu statych ilustratorów pierwszych powieści pisarza — Benetta i Riou. Ukazywanie fantastycznych podróży w normalnych, realistycznych obrazach, jak to robiono dotychczas, wydaje się nieco dziwne współczesnemu widzowi. Fantastyka akcji i samych pojazdów (parowy samochód, podwodne rowery itp.) stały w dużej sprzeczności z realnością zdjęć: film, zamiast być fantastyczną bajką, stał się przeglądem mocno dziś już nierealnych pomysłów technicznych „z myszką”.



Toteż zdjęcia do „Diabelskiego wynalazku”, który jest opracowany na podstawie kilku powieści Verne'a, nakręcono zupełnie inaczej. Przede wszystkim dekoracje pokreślano poziomymi czarno-szarymi liniami, przypominającymi raster fotograficzny oryginalnych starych rycin. Zastosowano również technikę rysunkową a nawet kukielkową. Często posługiwano się zdjęciami wielokrotnie na siebie nakładanymi. Np. w atelier nakręcono sceny z aktorami w plenerze — na tę samą klatkę nakręcono morze i skały, wreszcie w specjalnym studio dokonywano dodatkowych zdjęć trickowych. Oczywiście — wymagało to mrowczej cierpliwości.

Jakie będą wyniki — zobaczymy wkrótce na ekranach. Na razie prezentujemy dwa zdjęcia z tego ciekawego filmu. Nie wiadomo tylko, czy na naszym papierze będziecie mogli zauważyć ich odmienność od zdjęć normalnych...

(bi)

Kiedy pociąg ruszył ze stacji, obejrzałem się. W przedziale chuda, siwa kobieta z uporem wpatrywała się w okno. Jeszcze dziś pamiętam jej ostry profil na tle dworcowych świateł. Oczu nie widziałem — było za ciemno w przedziale.

Myszę, że warto na koniec wspomnieć o tym, co mówił autor wznowionego w tych dniach „Na tropach Smęka” — Melchior Wańkowicz. — Nie było mnie tutaj 25 lat, trudno mi mówić, po prostu nie wiem. Ale pamiętam dzień, kiedy po raz pierwszy przyjechałem po wojnie do kraju. Wówczas, w warszawskim hotelu, w recepcji, urzędnik podając mi blankiet powiedział: „Jeżeli pan nie umie pisać po polsku, mogę panu pomóc w wypełnieniu”. Uderzyło mnie to; a może ja rzeczywiście nie umiem już pi-

sać po polsku? Takie było pierwsze spotkanie z krajem. Kiedy przybyłem po raz drugi, już na stałe i kiedy — po 25 latach — zjawili się tutaj na te uroczystości, byłem bardzo ciekawy jakie będzie znowu to pierwsze wrażenie. Nie mogę powiedzieć by było przyjemne: w nocy jakiś pijak zabrudził mi samochód, stojący na ulicy. Kiedy jednak przyszedłem po kilkunastu minutach, znalazłem samochód ustrojony kwiatami i otoczony roześmianymi twarzami harcererek. Wzruszyło to mnie, pierwsze przykre wrażenie zniknęło, stało się nieważne. I bardzo bym prosił, jeżeli ktoś zechce pojechać po moich śladach sprzed 25 laty dziś — niech nie zapomina o tych i o tym, co młode...

Wańkowicz powiedział to oczywiście pięknie. Ja — spisuję z pamięci.

Janusz BINIEK

Nowości z kraju i ze świata

popłochu, zdążyli jednak zauważyć, że olbrzym był obrośnięty sierścią. Uczeń się zdania, że chodził tu o wyjątkowej wielkości orangutana, choć nie brak głosów, że mógł to być — nadal modny — yeti.

Wynaleziona niedawno strzykawka bez igły, wprawdająca bezboleśnie potężnym strumieniem lek pod skórę, nie jest już ostatnim krzykiem wynalazczości w tym zakresie. Amerykański lekarz wojskowy E. A. Anderson skonstruował ostatnio strzykawkę, umożliwiającą wykonywanie w bardzo szybkim tempie masowych wstrzyknięć (np. szczyptę) i na-

zwał ją „hydrauliczną nakłuwaczką”.

Jest to skomplikowane urządzenie, oparte na zasadzie pompy hydraulicznej, wytwarzającej duże ciśnienie, które automatycznie wbija igłę i wprowadza lek pod skórę, bądź do mięśnia. Zabieg trwa za ledwie 0,4 sekundy.

*

W chińskiej prowincji Kansu do gotowania ryżu zamiast normalnych pieców opalanych węglem czy drzewem, zaczyna stosować się proste i wygodne piece słoneczne. Wkleśły reflektor skupia wiązkę promieni na garnku, w którym znajduje się potrawa. Ponieważ w prowincji Kansu niebo przez cały prawie rok jest

bezhmurne, a nasłonecznienie jest silne, planuje się obecnie upowszechnienie pieców słonecznych w gospodarstwie domowym.

*

W Niemczech wyprodukowano mikrofon o kształcie lunety długości 90 cm i przekazano go do próbnego użytku do radia angielskiego (BBC).

Główną zaletą mikrofonu — lunety jest wąskość jego charakterystyki spektralnej oraz duża czułość. Kierując lunetą na mowę w tłumie lub na estradzie można usłyszeć każde jego słowo. Ma to szczególne znaczenie dla operatora telewizyjnego, który dotychczas musiał przenosić do mówcy mikrofon, ciągnąc przy tym kabel łączący mikrofon z kamerą telewizyjną.

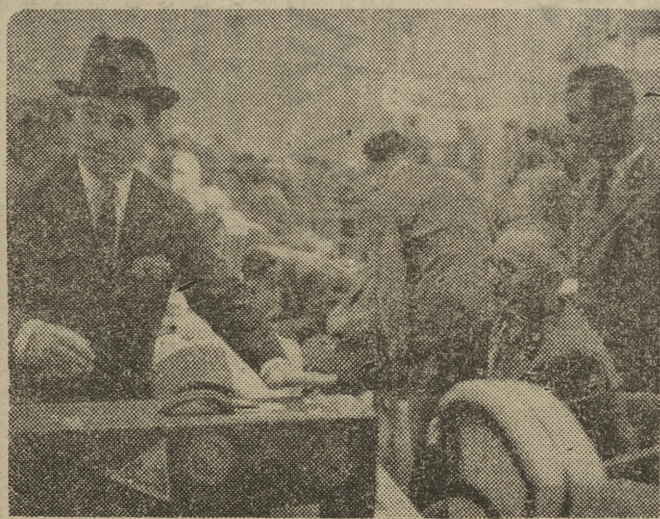
Jak działa sztuczne oko?

Coraz częstsze doniesienia prasowe o badaniach uczonych*) nad skonstruowaniem sztucznego oka, mającego zastąpić niewidomym wzrok, wzbudzają szerokie zainteresowanie.

Pierwszym z aparatów, mających zastąpić niewidomym utracony wzrok — jest tzw. elektrotal, przeznaczony do orientacji przestrzennej. Jest to rodzaj helmu, który zakłada się na głowę. Mieści się w nim zespół 80 małych komórek fotoelektrycznych, tworzących sztuczne oko. Bardzo to niestety prymitywne jeszcze zastępstwo: oko ludzkie zawiera około 20 milionów odpowiednich elementów, działających na innej jednak zasadzie. W sztucznym oku fale świetlne zmieniają się na impulsy elektryczne, te zaś kierowane są drogą kablową do układu wzmacniaczy, mieszczącego się w małej walizeczce, którą niewidomy nosi na pasku, przewieszanym przez ramię. W kasie znajduje się akumulator zasilający wzmacniacze — b. małe i lekkie. Prąd elektryczny przechodzi stąd do „płyty czołowej” wykonanej z masy plastycznej i mieszczącej w sobie zespół 80 „dotykadeł” (sztyfcików). Pod wpływem bodźców elektrycznych „dotykadeł” drgają i mieszczącej w sobie zespół 80 „dotykadeł” (sztyfcików). Pod wpływem bodźców elektrycznych „dotykadeł” drgają i

wywierają ucisk na skórę. Dzięki „oknu” umieszczonemu w helmie, niewidomy idąc ulicą — może np. orientować się, gdzie jest jezdnia a gdzie mur kamienicy: Od strony jasnej, pustej przestrzeni poczuje silniejsze drgania „dotykadeł”, od strony muru „dotykadeł” pozostają bez ruchu, w środku zaś zatrzymują się co pewien czas, sygnalizując

*) Prof. Starkiewicz ze Szczecina zaprojektował aparaty, tworzące „sztuczne oko”, a opracował je prof. Kuliszewski we Wrocławiu.



Dymsha przed wyjazdem na występy do USA. Podobno tak rozmieszył celników, że nie mogli pełnić swych powinności

zbliżanie się jakiegś przeszkody.

Drugi aparat umożliwić ma niewidomemu czytanie zwykłej książki drukowanej. Ma on kształt niewielkiej filiżanki, którą niewidomy trzyma w prawej dłoni. Aparat wsparty jest na metalowej ramce ponad książką, nie dotykając jej. Niewidomy wodzi nim ponad tekstem i odczytuje go. Zasada działania tego aparatu jest ta sama co w elektrotal. „Dotykadeł” uderzają w poduszczone wskazujące palca osoby, trzymającej aparat, a ich drgania układają się w kształty liter.

Prof. Starkiewicz spodziewa się w przyszłości dalszego udoskonalenia „sztucznego oka” — a więc wrażliwością na barwy, widzenia stereoskopowego (przestrzennego), rozszerzenia pola widzenia itd. Warto dodać, iż pierwsze na świecie „sztuczne oko” skonstruował w roku 1839 Polak — prof. Nolszewski. Działało ono na podstawie wykorzystania własności selemu — tj. zmiennego przewodnictwa elektryczności, zależnie od większego lub mniejszego nasświetlenia. Było ono jednak — na skutek zastosowania lampy elektronowej — bardzo ciężkie.



Jak podaje Association Press, niejaki — Frank Offord, kupił na licytacji kasę pancerną, pozabawioną kluczy i nie otwieraną przeszło 50 lat. Nie wiedząc, jaką ma ona zawartość — Offord zapłacił za nią kilkadziesiąt funtów, a następnie zwrócił się o pomoc do swego przyjaciela, Alfie Priora, specjalisty od budowy safesów. Po wielu wysiłkach, Prior otworzył drzwiczki kas i — zdębiał. W jej wnętrzu znajdowała się tiara z 70 diamentami oraz inne kosztowności, mające wartość 100 tysięcy funtów, a ponadto, połączonych rozmiarów, Biblia...

Minarety nad Kiełbaską czyli cenna reduty Ordona

Jadąc samochodem z Poznania do Warszawy, na 4 kilometr przed Kołem, przejeżdżamy pod niewielkim mostkiem. Podróżny nie zdąży zastanowić się, po co zbudowano ten most nad szosą, gdyż samochód już wjeżdża na płaszczyznę, skąd widać wieżę Koła.

✱

Kościelec Kolski — to bardzo stara wieś, należąca dawniej do dóbr arcybiskupstwa gnieźnieńskiego. Pamiątką najdawniejszych czasów jest romański kościółek — zbudowany z ciosanego kamienia. Po upadku Księstwa Warszawskiego, dobra kościeleckie przeszły na własność rządu carskiego. Podczas walk z wojskami powstańczymi, wsławił się po stronie rosyjskiej jeden z dowódców, nazwiskiem Kreutz. Jego to wojska zaimowały opór słynnej reduty Ordona. Car ocenił zasługi Kreutza i ofiarował mu dobra kościeleckie. Tak więc, ta piękna wieś — to cenna reduta Ordona.

W uzyskanych dobrach hrabia Kreutz wzniósł na północnej stronie szosy wspaniałą pałac. A że kościół stał po drugiej stronie, kazał wybudować specjalny mostek nad szosą, aby miał bezpośrednie połączenie. Hrabia wystawił znaczną ilość pomników i rzeźb. W parku napotykalmy na coraz to inne oryginalne budowle. Stoi tu minaret z wieżyczką muzealną, sztuczne ruiny z dwiema basztami podziemiemi i wspaniałą grota. Grota spiętrzona jest nad stawem, a ściany jej wyłożono tufem wulkanicznym spróchniałym z Sycylii. Jest na co patrzeć w Kościelecu.

Dziś Kościelec jest siedzibą Państwowego Technikum Rolniczego. Latem zaś urządzone są kolonie dla dzieci. Prawdziwy raj dla dzieci: park, przepływająca rzeczka, łowy dopływ Warty o oryginalnej nazwie „Kiełbaska”. Obecnie buduje się nowy gmach szkolny i dom dla nauczycieli. Czekają na wykończenie świetlica wiejska. W niedługim czasie będzie tu wzorowy ośrodek wiedzy rolniczej.

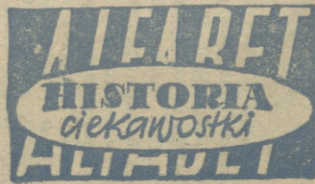
Z. PĘCHERSKI

ŁOBEZ w powiecie jarocińskim dźwiga już około 570 lat. Prawie tyle bowiem lat upłynęło od pierwszej wzmianki o nim. Nazywał się wówczas Łobzowem.

Tych Łobzowów w Polsce jest znacznie więcej: kilka — w województwie krakowskim, jeden na Pomorzu Zachodnim. Jeszcze do niedawna Łobezem nazywano las pod Perzycami w powiecie krotoszyńskim. Nazwa nie od łobuza, ale od chwa stów, chrustu, zielska.

ŁÓDŹ — tuż przy Wielkopolskim Parku Narodowym — została wymieniona w r. 1271 przy nazwisku „Sanciu de Loda” czyli Sędziwoja z Łodzi. Jeszcze w r. 1580 pisano „Łodzka”.

ŁOMNICA w pow. N. Tomyski w r. 1491 należało do dziedzic



ców Zbąszynia. Nie bardzo biegły w ortografii archidiacon poznański Jan z Góry w r. 1510 napisał nazwę tej miejscowości „Lompicza”. Powstała ona — przypuszczają należy — na miejscu polanego przez wicher lasu.

ŁOSKOŃ w pow. obornickim. W r. 1153 Łoskun (tak brzmiała pierwotna nazwa) Przedwoj darował Cystersom z Łekna

Nietoperze w roli bombowców

W jednym z chicagowskich dzienników ukazał się sensacyjny reportaż Irwina Porgesa, mówiący o próbach wykorzystania nietoperzy w roli... samolotów bombowych w czasie ostatniej wojny.

Jak pisze I. Porges, niejaki dr Adams wpadł na pomysł, aby nietoperzem, zalegającym w olbrzymich ilościach opuszczone szyby kopalnie Arizony, umocować do kadiuba małe bomby zapalające o wadze 30 gramów i zrzucać je masowo na miasta japońskie. Próby przeprowadzone nad wybudowanymi wslami w Texas dały ponoć bardzo dobre wyniki. Z samolotu wyrzucano nietoperze w skrzydłach na spadochronach; następnie automatycznie działający przy rząd pozwalał im wydostać się ze skrzyń. Zwierzęta, w poszukiwaniu cienia, wędrowały pod okapy dachu, gdzie po jakimś czasie eksplodowały bomby zaopatrzone w zapalniki zegarowe o spóźnionym zapalaniu.

Podobno USA nagromadziły tyle tych „żywych bombowców”, że mogły zniszczyć większość japońskich miast. Nie zostały jednak nigdy użyte, gdyż ostatnia faza przygotowań z bombą atomową dobiegała już końca.



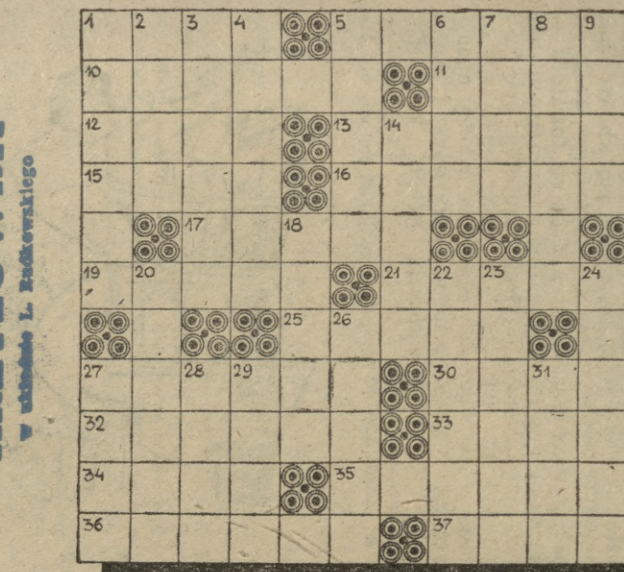
— Uśmiechnij się!..

pod Wagrowcem. Jeszcze w pierwszych dziesiątkach tego wieku Łoskoń był Łoskunem.

ŁYSYCHGÓR u nas nie ma. Miały się więc gdzie zjeżdżać czarownice na swym oszczędnym środku lokomocji — na młotach. Nazwą tą objęte były przede wszystkim wzgórza, dziś już prawie zrównane z terenem. Wymienię kilka tych miejsc: na łące pod Cerekwicą w powiecie poznańskim, na polach pod Sierakowem, pod Pępowem, Poniecem, Sarninowem, Lubonią, Boruszynem, Krzywińm i Tworzynm kani. O wielu innych Łysychgórach już zapomniano.

ŁYSA PAŁKA — to wieś pod Ostrowem Kaliskim. Nazwa dziwna — acz nie wyjaśniona. J. P.

KRZYŻÓWKA



POZIOMO: 1 — poręka na wesklu, 5 — krew zwierzęca, 10 — leśniczy, 11 — prowincja w Indiach Wschodnich, 12 — natarcie, 13 — toreador, 15 — konsekwencja winy, 16 — mówca, 17 — bogini mądrości, 19 — port w Brazylii, 21 — pierwiastek chemiczny, 25 — ojczyzna Odysseusza, 27 — roślina warzywna, 30 — zakończenie modlitwy, 32 — materiał wybuchowy, 33 — księstwo prawosławne, 34 — matka gigantów w mitologii greckiej, 35 — drogi kamień, chrystolit, 36 — roślina ozdobna, 37 — waga opakowania. PIONOWO: 1 — lewy dopływ Jeniseju, 2 — dary dla kościoła, 3 — miejsce wyładunku arki Noego, 4 — kolejne miejsce zwycięży, 5 — niejadliwy wąż, 6 — żeńskie imię biblijne, 7 — kłująca roślina, 8 — staromodny pojazd, 9 — bożek miłości, 14 — rzeka w Czechosłowacji, 18 — dobowe towarzystwo, 20 — przywódca kozacki, 22 — początek ustępu w tekście, 23 — nakłanianie, 24 — haracz, opłata, 26 — kupon, 27 — legenda skandynawska, 28 — tłuszcze zwierzęce, 29 — kraj w Indochinach, 31 — prowincja w Grecji.

Rozwiązanie prosimy nadsyłać do dnia 9 bm. z dopiskiem „krzyżówka”.



Wiewiórka à la Skonecki

Niecodzienne wydarzenie przytrafiło się niedawno podczas jednego z meczów tenisowych w USA. Otóż w pewnym momencie na kort wbiegła wiewiórka, zlapała toczącą się po ziemi piłkę tenisową i uciekła ze swą zdobyczą.

Zintrygowani tenisiści ruszyli w pogoń i odnaleźli wiewiórkę w jej dziupli, w której odnaleźli... 174 piłki tenisowe, zgromadzone przez tę oryginalną kolekcjonerkę.

Ciężka miłość

Niejaki John Hutchinson, z Londynu uderzył swoją sympatię miss Jennifer Berker, siekierą po głowie. W czasie przewodu sądowego, jego obrońca przytoczył oświadczenie miss Jennifer, które zostało uznane jako okoliczność łagodząca. Miss Jennifer oświadczyła, iż czyn jej narzeczonego wywarł na niej tak wielkie wrażenie, że postanowiła natychmiast po wypuszczeniu Johna z więzienia zostawić jego żonę.

Góra psychologia

Instytut Psychologii w Heidelbergu (NRF) zakupił lustro do toalety. Ponieważ jednak pozycja taka nie była przewidziana w budżecie, zamiast „lustra” użyto określenia „reflektor ludzki”, po czym z łatwością wciągnięto wydatek pod rubrykę „aparatura naukowa”.

